

TO BYŁA SZCZĘŚLIWA TRZYNASTKA

Z Janem Świstakiem o jego dramatycznych losach – sybiraka, kościuszkowca wziętego do niewoli pod Lenino, uciekiniera z piekła niemieckiego obozu i Polaka wcielonego do Armii Czerwonej rozmawia Piotr Korczyński.

Data 10 lutego 1940 roku – dzień, a raczej noc rozpoczęcia pierwszej wielkiej deportacji Polaków z Kresów w głąb Związku Sowieckiego – otworzyła tragiczny rozdział także w życiu Pana rodziny, jednej z wielu rodzin wojskowych osadników, którzy za męstwo w wojnie z bolszewikami w 1920 roku otrzymali ziemię na wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej.

To z pewnością przypadek, ale w tej tragedii mieliśmy podwójnego pecha – jeśli można tak powiedzieć – bo z naszego domu w Glinnej [powiat Kosów Poleski w województwie brzeskim] Sowietci wywieźli nas aż do Archangielska! Tam wypędzeni przez enkawudzystów z bydłowego wagonu zostaliśmy



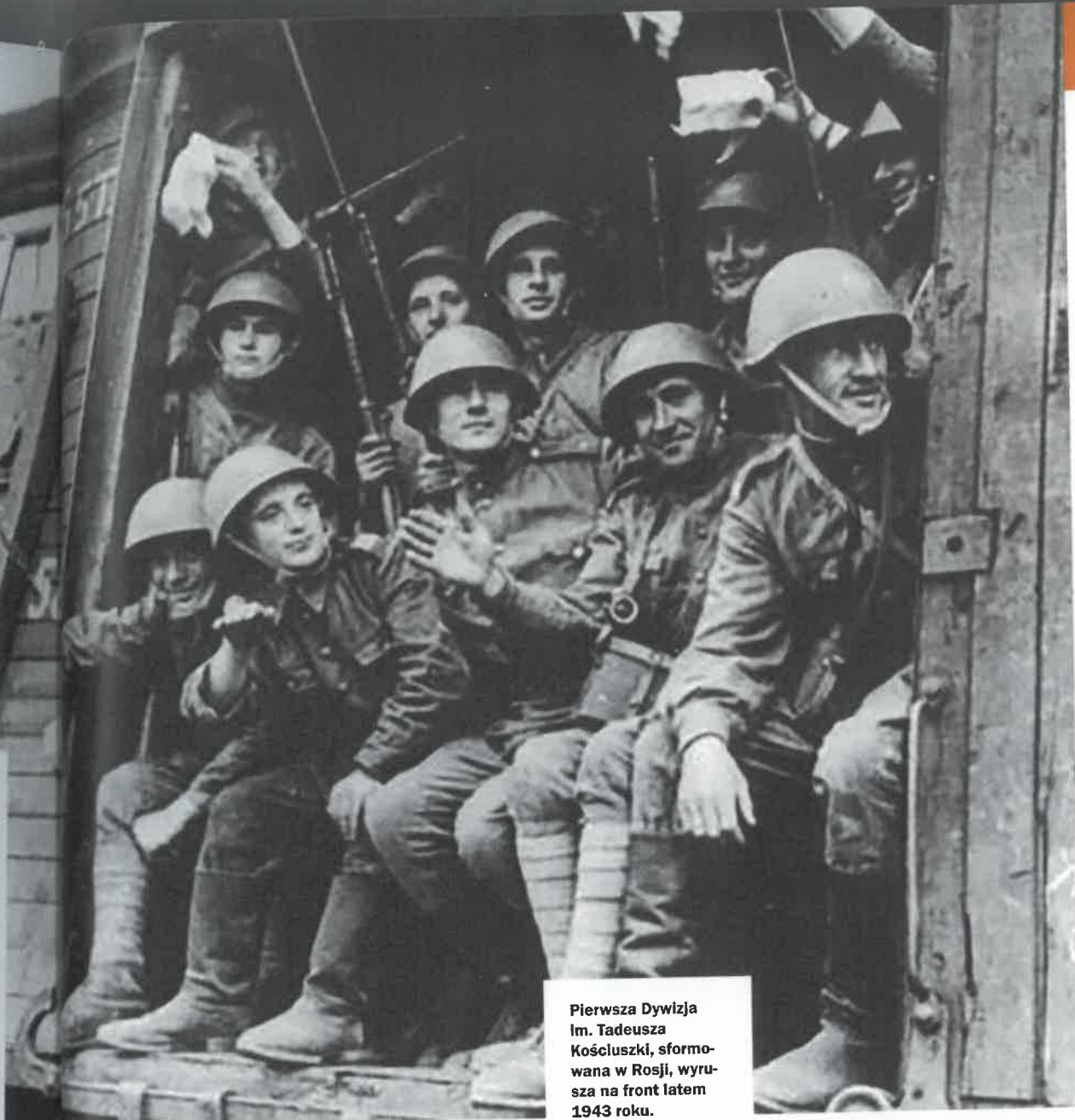
PIOTR KORCZYŃSKI

WIZYTÓWKA

JAN ŚWISTAK

Urodzony 17 lutego 1924 roku w Kęszynie, sybirak, żołnierz 1 Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, po wojnie prowadził z żoną gospodarstwo rolne. Mieszka z rodziną w Wągrowcu. Minister obrony narodowej przyznał mu złoty medal „Za zasługi dla obronności kraju”, którym odznaczony został 31 stycznia 2023 roku. ■





Pierwsza Dywizja
Im. Tadeusza
Kościuszki, sformo-
wana w Rosji, wyru-
sza na front latem
1943 roku.

załadowani na sanie zaprzęgnięte w renifery i ich woźnice powieźli nas w głąb tajgi. Miejsce, gdzie trafiliśmy, nie miało nawet nazwy – na mapie oznaczone było jako 71. kwartał. Zajęliśmy kilka baraków po ukraińskich zesłańcach deportowanych tu w 1933 roku i się zaczęło...

Praca w tajdze na wyrębie?

Tak, to przede wszystkim, choć na początku drwałem był tylko mój ojciec. Ja dołączyłem do niego, kiedy stałem się pełnoletni według sowieckich przepisów, czyli skończyłem 16 lat. Ciężka praca, zimno, choroby, beznadzieja niewolnika – to wszystko było straszne, ale najstraszniejszy był głód. To chciałem wcześniej powiedzieć: „zaczęło się głodowanie”. Pan wie, że do dziś śni mi się chleb z Syberii? Tak dobrego chleba jak tam już nigdy w życiu nie jadłem, choć dziś pewnie nie wziąłbym tego zakalca do ust... Taki paradoks, wynikający z prostej rzeczy, że dostanie kromki chleba w tajdze to było największe święto. Głód u takie-

go dorastającego wtedy chłopca jest nie do opisania!... Nasz komendant, enkawudzista Korolow, miał dużego, wypasionego wilczura. Pewnego dnia z moim rówieśnikiem i kolegą Marianem zwabiliśmy tego psa, założyliśmy sznur na szyję i wyprowadziliśmy za baraki. Tam go zabiliśmy uderzeniem kija w głowę, wycięliśmy wątrobę, którą moja matka ugotowała i której każdy z nas otrzymał po kawałeczku. Czy pan zdaje sobie sprawę z tego, co zrobiliśmy?

Abstrahując już od samego faktu zabicia psa, dokonaliście czynu „antypanstwowego” – za to można było trafić do łagru...

Albo nawet dostać kulę w łeb od naszego pana życia i śmierci rozsierzonego za zabicie jego pupila. Na szczęście nigdy się o tym nie dowiedział. Być może zniknięcie wilczura poszło na konto grasujących watah wilków. Podam jeszcze inny przykład. Pewnego dnia gruchnęła w naszej osadzie wieść, że w tajdze padł jeden z koni. Matka wysłała mnie, bym coś wykroił z padliny. Okazało się jednak, że byłem jednym



Kolumna sowieckich Jeńców. Większość tych ludzi czekała straszna śmierć głodowa w niemieckich obozach jenieckich dla „podludzi”.

z ostatnich, którzy pobiegli po zdobycz. I tak mijałem szczęśliwców, którzy kolejno nieśli kawały mięsa, koński łeb, żebra..., a kiedy zobaczyłem chłopaków dźwigających golenie z kopytami – uznałem, że już nie ma sensu tam iść, i wróciłem do baraku z niczym. To był bardzo zły dzień...

Kiedy wybuchła wojna niemiecko-sowiecka w czerwcu 1941 roku i doszło do podpisania polsko-sowieckiego układu, Polacy oficjalnie z więźniów i niewolników na terytorium Związku Sowieckiego zmienili się w sojuszników. Zaczęto formować armię gen. Władysława Andersa. Czy te wszystkie zmiany dotarły do waszej zagubionej w tajdze osady?

Do armii Andersa z naszej osady nie trafił nikt. Po prostu z Archangielska było za daleko. Nasza sytuacja nieco się wówczas poprawiła – teoretycznie mogliśmy wybierać miejsce pracy i jedzenia było nieco więcej, ale to tylko takie poluzowanie kagańca. Gdy armia Andersa została ewakuowana, my, Polacy, znowu staliśmy się podejrzani – tym razem za „niechęć do walki z Niemcami”. Trafiłem, podobnie jak wielu innych młodych Polaków w wieku poborowym, do batalionu roboczego. To także był przejaw nieufności – byliśmy żołnierzami, ale bez broni, wykorzystywani do ciężkich robót. Zwolniono mnie ze strojbatalionu – jak je nazywano – w kwietniu 1943 roku. Nie spodziewałem się wtedy, że niedługo włożę polski mundur.

Czyli wieści o formowaniu 1 Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki w Sielcach nad Oką były dla Pana zaskoczeniem?

Ogromnym! Przyznam się panu, że w sowchozie, w którym wówczas pracowałem, nie byłem do końca legalnie. Z kolegą otrzymaliśmy wcześniej przydział do pracy na wyrębie lasu nad Dźwiną. Pobraliśmy kartki żywnościowe na tę drogę, ale zamiast nad Dźwinę popłynęliśmy statkiem do pobliskiego sowchozu, gdzie przyjęto nas do pracy z otwartymi ramionami i wręczono kartki żywnościowe. Mieliśmy więc podwójny przydział... Kiedy wkrótce wezwano nas do kierownika sowchozu, wpadliśmy w przerażenie, że nasze kombinacje wyszły na jaw i skazały nas na łagier. Okazało się jednak, że w biurze czekały na nas powołania i bilety do wojska – do polskiej dywizji w Sielcach! W Archangielsku dołączyliśmy do tłumu kilkuset takich jak my poborowych i pociągami ruszyliśmy nad Okę.



Ojciec Jana,
Stefan Świstak –
1920 rok

POD LENINO, POWIEDZMY SOBIE TO WPROST, TO BY- ŁA RZEŹ POLSKICH ŻOŁNIERZY

Nie spodziewał się Pan wtedy, że wyjechał Pan z jednego piekła, by trafić w drugie...

Ależ skąd! Entuzjazm był ogromny! To powtarza każdy z kościuszkowców, ale i ja powtórzę: kiedy przekroczyłem bramy obozu w Sielcach, poczułem się niemal jak w Polsce i wróciła nadzieja, że do Polski wraz z rodziną wrócę. W tym miejscu zaznaczę, że mój ojciec, legionista Piłsudskiego i bohater Bitwy Warszawskiej, także trafił do wojska Berlinga – do 3 Dywizji Piechoty – i w jej szeregach przeszedł cały szlak bojowy, aż pod Berlin. Moja droga do kraju okazała się bardzo kręta...

No właśnie, wspominał Pan o nadziei, ale ona w pierwszej krwawej bitwie kościuszkowców pod Lenino została wystawiona na bardzo ciężką próbę.

Jan Świstak (pierwszy z lewej) z żoną i znajomymi w Dąbkowicach, 1949 rok

Pod Lenino, powiedzmy sobie to wprost, to była rzeź polskich żołnierzy. Ja nawet nie za bardzo pamiętam, w jakich okolicznościach zostałem ranny. Mogę tylko powiedzieć, że rzucono moją kompanię do ataku już po zmierzchu. Gdy się ocknałem, poczułem straszny ból w obu nogach i ręce – zapłakałem z tego bólu i znowu zemdlałem. Kiedy ponownie odzyskałem przytomność, na pobojowisku było już ciemno. Wokół mnie leżeli zabici koledzy z kompanii, towarzysze broni. Rozpoznałem Kijewskiego, Nowaka, Anackiego i Janika... Jak okiem sięgnąć, leżały zwaly trupów i ciężko rannych, wśród których chodzili niemieccy żołnierze. Podeszli i do mnie. Myślałem, że to koniec, że stanę rozstrzelany na miejscu, ale stało się inaczej, powlekli mnie za swoje linie obrony.

Niemieccy sanitariusze opatrzyli Pana rany?

Ależ skąd. Z innymi rannymi znalazłem się w obozie przejściowym w Orszy. Początkowo żaden pielęgniarz ani lekarz nie interesowali się nami. Cały mundur miałem we krwi, a z rany w lewej nodze zaczęły dosłownie wysypywać się robaki – to dobrze, bo one ją czyściły. Do dziś się dziwię, jak ten mój młody organizm osłabiony katogą w tajdze to wytrzymał. Miałem jednak przy sobie talizman – mam go do dziś! W 1942 roku matka podała mi obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej, by mnie chroniła. Miałem go w kieszeni munduru pod Lenino, w niewoli, w sowieckiej partyzantce i kieszeni munduru czerwoarmisty. Od 1942 roku nie rozstaję się z nim ani na chwilę.

Wracając do momentu, kiedy leżałem ranny w obozie, to po pewnym czasie w końcu zabrano mnie i zrobiono opatrunek – nie, nie bandażem, tylko papierem toaletowym... Po kilku dniach trafiłem do wielkiego transportu rannych jeńców. Niemcy podstawili pociąg złożony z kilkudziesię-

ciu bydlęcych wagonów, których podłogi były wysypane trocinami. Każdy wagon po brzegi wypełnili rannymi. W moim byłym jedynym Polakiem, leżący obok mnie Rosjanie nie przeżyli tej drogi.

Gdzie was wywieziono?

Do obozu jenieckiego w litewskim Kownie. Tu jako ciężko ranny trafiłem do szpitala obozowego. Jak na takie miejsce było nawet dość czysto, ale panował ostry rygor. Dwa razy dziennie – rano i wieczorem – dostawaliśmy zupę z brukwi i 200 g chleba. Za najmniejsze przewinienie karano nas niewydaniem tej i tak marnej racji przez cały dzień. Pod koniec listopada gruchnęła wieść, że Niemcy wywiozą część jeńców do innych obozów. Przeraziło mnie to, bo czułem, że kolejnej takiej podróży jak z Orszy do Kowna mogę nie przeżyć. Uratował mnie wtedy młody rosyjski lekarz, także jeniec, pracujący w szpitalu. Uspokoił mnie, że zadba o to, bym trafił do transportu, który nie jest przeznaczony od razu do wykończenia, na śmierć. I tak trafiłem do niewielkiego lotewskiego miasta Walk niedaleko estońskiej granicy [dziś Valga w Estonii]. To był specjalnie zorganizowany obóz dla rannych jeńców.

Czy istotnie on był lepszy od innych obozów dla jeńców sowieckich, o których zawsze słyszy się i czyta straszne rzeczy?

Oflagów czy stalagów dla wziętych do niewoli aliantów, także Polaków, do których czasem trafiali też żołnierze polscy z frontu wschodniego, nie możemy porównywać z obozami dla jeńców sowieckich! Obóz w Walk także był jedną wielką umieralnią: jak się później dowiedziałem, zmarło w nim 29 tys. jeńców sowieckich. Taka była różnica, że tu urzędowała komisja lekarska, która wysyłała ozdrowieńców lub inwalidów do przymusowej pracy. O dziwo, moje rany zaczęły się dobrze

JAN ŚWISTAK:

„Nie było łatwo wyrwać się z Armii Czerwonej, ale po wielu raportach, komisjach i podaniach w końcu mnie puścili. Wróciłem do kraju w grupie 13 Polaków. Nie muszę chyba mówić, jak szczęśliwa to była trzynastka!”



PAN WIE, ŻE DO DZIŚ ŚNI MI SIĘ CHLEB Z SYBERII? TAK DOBREGO CHLEBA JAK TAM JUŻ NIGDY W ŻYCIU NIE JADŁEM, CHOĆ DZIŚ PEWNIENIE NIE WZIAŁBYM TEGO ZAKALCA DO UST...

goić i nabrałem na tyle sił, że kiedy stanąłem przed komisją, ta uznała mnie za zdolnego do pracy inwalidę. Na początku 1944 roku w grupie podobnych osób trafiłem do pracy na łotewską wieś nieopodal Walk. Dobrze trafiłem, bo starsza wdowa, pani Krejlis, okazała się dobrym człowiekiem.

Nie zamierzał Pan jednak pozostać na Łotwie do końca wojny...

Po pierwsze, na początku 1944 roku nie było jeszcze jasne, kiedy ta wojna się skończy, a po drugie – proszę pamiętać, że wciąż byłem jeńcem i w każdej chwili Niemcy mogli mnie zabrać z tego gospodarstwa i na przykład rozstrzelać pod byle pretekstem. W tymże gospodarstwie poznałem jeszcze dwóch jeńców – Rosjanina Iwana i Ukraińca Łońkę. Okazało się, że nasze marzenia są zbieżne i wszyscy trzej postanowiliśmy uciekać. Łońka dobrze mówił po niemiecku i skądś wytrzasnął karabin. Jak się później okazało, do czego sam się przyznał, miał za sobą epizod kolaboracji z Niemcami, ale z jakichś powodów nie wytrzymał pod ich dowództwem. Przygotowawszy się dobrze pod względem broni i prowiantu, uciekliśmy z niewoli, dobrze to pamiętam, 2 maja 1944 roku.

Nie chciał Pan uciekać do Polski?

Proszę Pana, sam? Gdzie, z czym... To nie powieść dla młodzieży! We trzech mieliśmy po prostu większe szanse. I jeszcze jeden aspekt, moja rodzina była na Wschodzie, chciałem do niej najpierw dołączyć i wrócić do polskiego wojska.

Jak długo trwała wasza odyseja?

Niemal miesiąc. Wiem, o co pan zaraz zapyta: jakim cudem to się udało na wrogim terenie, kontrolowanym przez Niemców? A ja panu odpowiem: dzięki dobrym ludziom i wielkiemu szczęściu, że nie doszło do ekstremalnej sytuacji, w której musielibyśmy zabić kogoś niewinnego za kromkę chleba.

Przyznam się, że o tym właśnie pomyślałem...

Byliśmy po naprawde ciężkich przejściach, jak tropiona zwierzyna, ale ani mnie, ani na szczęście moich współtowarzyszy nie pozbawiło to sumienia. I powtórzę jeszcze raz, mieliśmy dużo szczęścia. Opatrzność nas chroniła i mój obrazek w kieszeni. Kiedy zagłębiliśmy się w łotewskie lasy, mogliśmy się natknąć na niemiecką obławę, pospolitych bandytów, własowców [żołnierzy Rosyjskiej Armii Wyzwoleńczej pod dowództwem gen. Andrieja Własowa] udających partyzantów. Szczęściem nie trafiliśmy w lesie na jakąś zdegenerowaną bandę, tylko dobrze zorganizowany oddział partyzantów dowodzony przez oficera Armii Czerwonej, który miał

łącność przez radiostację ze sztabem. To skutkowało uniknięciem wielu nieprzyjemnych sytuacji. Podam przykład, w jednej z potyczek wzięliśmy do niewoli 13 niemieckich żołnierzy. Pierwsza myśl – rozstrzelać ich, bo przecież żaden oddział partyzancki nie będzie z sobą ciągnął tylu jeńców. Nasi partyzan-

ci w Polsce mieliby podobny dylemat. Nasz dowódca wysłał w tej sprawie radiogram do sztabu i otrzymał odpowiedź, że jeńcy nie mogą być rozstrzelani, że mają być przekazani na „wielką ziemię” jak w partyzantce nazywano nieokupowaną część Związku Sowieckiego. Może tam choć część tych ludzi przeżyła, bo już wtedy dojrzałem do przekonania, co nie było takie łatwe, że w każdym narodzie są dobrzy i źli ludzie.

Pan był jedynym Polakiem w tym oddziale?

Tak, na 170 partyzantów jedynym. Nikt mi z tego powodu nie czynił wstrętów. Problem pojawił się dopiero w sierpniu, kiedy po ofensywie Armii Czerwonej oddział połączył się z regularnym wojskiem, partyzanci na powrót zostali żołnierzami, ale trzeba było przejść weryfikację. Moi obaj współtowarzysze przeszli ją pozytywnie – Iwan dołączył nawet do swej macierzystej jednostki, a o Łońce ani pary z ust nie puściliśmy, że miał konszachty z Niemcami. Ja zaś oświadczyłem, że jako Polak chcę wrócić do Wojska Polskiego. Na co usłyszałem od oficera weryfikującego [prawdopodobnie z kontrwywiadu – osławionego Smierszu]: „Co, nie podoba ci się Armia Czerwona? Jak skończy się wojna, to wrócisz do Polski!”. Następnie zakomenderował: „No to zastanów się chwilę” i zajął się kolejnymi partyzantami. Nagle usłyszałem, że jeden z nich się sprzeciwia, krzyczy, że nie pójdzie na front. Oficer skinął na stojących za nim żołnierzy, a ci delikwenta wzięli pod ramiona, zaprowadzili za stodołę i usłyszałem tylko strzały. W tym momencie oficer odwrócił się do mnie, popatrzył mi w oczy i zapytał: „Zastanowiłeś się już?”. Skinąłem, że tak.

Jak długo służył Pan jako żołnierz?

Jeszcze długo po wojnie, bo aż do marca 1947 roku. Znalazłem się w korpusie walczącym na froncie południowym: Węgry, Bałkany, Austria. Byłem erkaemistą – ciagle na pierwszej linii. Dochrapałem się stopnia sierżanta, a po wojnie służyłem w Austrii i na Krymie. We wrześniu 1946 roku otrzymałem upragniony list z Polski, że cała moja rodzina przeżyła i mieszka w Dąbkowicach pod Wągrowcem. Nie było łatwo wyrwać się z Armii Czerwonej, ale po wielu raportach, komijskach i podaniach w końcu mnie puścili. Wróciłem do kraju w grupie 13 Polaków. Nie muszę chyba mówić, jak szczęśliwa to była trzynastka!